

NAGRANIE ZAGRANIA



fot. Dorota Wink

Owszem, wiedziałem, co to jest metronom, czasem w szkole zdarzało mi się go używać, ale akurat podczas ćwiczenia tego kawałka, bicie metronomu zostawiało mi na mózgu krwawe pręgi. Ćwiczyłem i ćwiczyłem, temat byłem już w stanie zagrać dosyć precyzyjnie, ale ciągle wywaląłem się na solówce. Co kilka taktów był bowiem do zrealizowania synkopowany podział, przez co przejście każdego chorusu przypominało bieg przez płotki. Zawadzałem o te podziały, płały mi się palce, myśl mi się przerywała, a metronom, drwiąco i beznamiętnie, bił dalej. Sam. Udało się, nagraliśmy to chyba za piątym razem. Praca w studiu, w słuchawkach, wiąże się z tak wielkim wysiłkiem umysłowym, że niekiedy po nagraniach nie jestem w stanie mówić. Dopiero wtedy okazuje się, ile życiowej energii pochłania zwykle wypowiedzenie słów. Podziwiam ludzi, którzy są w stanie dużo i głośno gadać... Skąd oni mają tyle siły? Jak zręcznie trzeba prowadzić swoje życie, żeby mieć aż takie nadmiary energii?

Dzisiaj zawsze lubię wiedzieć, czy koncert jest nagrywany, czy nie. Bo nagranie koncertu generuje zupełnie inny stan umysłu niż zagraenie koncertu. I kiedy pani dyrektor mówi zdziwiona, że „nie rozumie, jaka to różnica zagrać koncert z transmisją czy bez”, to nawet nie chce mi się tego tłumaczyć. Tomasz Stańko mawiał, że: „największą zaletą muzyki jest jej ulotność”. Skoro tak, to w przypadku rejestracji bądź transmisji muzyka traci swoją największą zaletę. Minuta na koncercie a minuta na płycie to dwie, zupełnie różne, minuty. Nieudana, koślawina minuta na płycie jest niewybaczalna, tymczasem na koncercie może być nie tylko urocza ale wręcz potrzebna.

Dzisiaj wiem, że Namysłowski miał rację mówiąc że: „na koncercie trzeba grać tak jak w studiu”, ale wtedy ta myśl była dla mnie nie do przyjęcia. Oznaczałoby to bowiem przenoszenie studyjnej katongi na scenę. Ciągle uczę się samodyscypliny i przymuszania się do tego szczególnego rodzaju uważności, który znam z pracy w studiu, na słuchawkach. Umysł wówczas przełącza się na wysoką analizę danych, czujnie, jak mózg szachisty, planując swoją partię. Co do milisekundy waży proporcje między dźwiękiem a ciszą, w każdej sekundzie mierzy siły na zamiary. Choć dzisiaj wysiłek jest i tak bez porównania mniejszy, bo dobry Bóg zesłał nam cyfrową patronkę wszystkich nagrań – Świętą Edycję.

Wypuściłem powietrze i szczerze westchnąłem: „Ach, żeby w studiu grać tak, jak na koncertach...” Chodziło mi o ten żar, o tę podjarękę, o ten żywioł, swobodę... Zbyszek Namysłowski spojrział na mnie i jego oczy zrobiły się uśmiechnięte. Zetknąłem się z nim wzrokiem. On często ma uśmiechnięte oczy. Pokręcił głową i mruknął: „Przecież jest dokładnie odwrotnie, chodzi o to, żeby na koncertach grać tak, jak w studiu...” Odwrócił się i zaczął pakować saksofon. Zrozumienie tego, co właśnie powiedział, zajęło mi dobrą chwilę. Nie chciałem się z tym pogodzić. Byłem zmęczony. Bardzo długo nagrywaliśmy ten cholerny kawałek z metronomem. Komputery jeszcze wtedy nie istniały, graliśmy na ADATA – najnowsze cudo techniki, które jednak wymagało, żeby utwory grać w całości. To był drugi dzień sesji. Na szczęście pomiędzy pierw-

szym a drugim dniem nagrań mieliśmy trzy dni przerwy, bo Ryszard Schmit, kultowy realizator z Olsztyna miał jakąś inną robotę, ale i tak czułem, jak pulsacja mózgu rozszalała mi czaszkę. Po głowie tłukł mi się głos elektronicznego metronomu.

Pierwszy dzień nagrań był okropny. Pierwszy numer poszedł gładko, ale przy nagrywaniu drugiego ciągle w słuchawkach słyszałem jedno: „Leszek, nie przyspieszaj!” Mówił mi to Zbyszek Wegehaupt, mówił mi to Namysłowski, Czarek Konrad też życzliwie zwracał mi uwagę, że w siódmym takcie trzecią synkopę za bardzo wyprzedzam. Po dwóch podejściach Namysłowski powiedział: „W takim razie gramy z metronomem”. Po kolejnych dwóch podejściach skończył się nam czas studia i mogliśmy rozjechać się do domów na trzy dni, żeby po przerwie wziąć się za ten numer ponownie. To były dla mnie trzy dni z metronomem.